

M.M. Pocgaj

* * *

Nie widać już świata
nogi przyrosły do nart
plecy do wiatru
i nagle w środku zadymki
gdy pod samotną sosną
rozcieram zgrabiące dłonie
a mróz zdejmuję ze mnie
ostatnią warstwę ciepła
dopada mnie
dzika radość istnienia
dzielona z tobą
którego sylwetkę
ledwo odgaduję
w białej kurzawie

(Powrót do Porjus z chaty Arvids-sona.30.01.2020)

Andrzej Szmaj

* * *

Opowiem ci to zdjęcie
krępa sosna w białej czapie
na chropawej śnieżnej płaszczyźnie
w leju wywianym przez zamieć
tam dalej inne sosny
hen hen aż po horyzont
nad nimi zielonoziółta zorza wieczorna
kilka cieplejszych chmur
dość gruby sierp Księżyca
zimny błękit powyżej
czeka na gwiazdy

Chciałabyś je zobaczyć
moje zdjęcie
ono jest tylko moje
w sercu nie na przeźroczu

(Muddus, 01.1994)

Na koniec zacytuję najkrótszy wiersz to-
miku. autorstwa A. Szmała. Polecam go
wszystkim. Myślę, że to świetne poetyckie
antidotum na niespokojny czas biegnący w
szalonym tempie.

* * *

Milczcie zegary
Pozwólcie żyć chwilą
Nieskończonością

Zofia Grabowska-Andrijew

Maria Magdalena Pocgaj, Andrzej Szmaj, *Sąpmi. Wiersze z Północy. Długłość poetycki*. Redakcja: Dorota Jędraszek. Zdjęcie na okładce: Andrzej Szmaj. Rysunki: Maria Magdalena Pocgaj. Edycja graficzna: Radosław Karbowiak. Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2023, s. 86.

Agnieszka Rykowska

Maski

W dzieciństwie dostałam lampkę w kształcie chłopczyka w czerwonym kapeluszu. Wtedy, po raz pierwszy podjęłam ryzyko. Chłopczyk był uszkodzony, o czym dobrze wiedziałam. Kiedy po raz trzeci poraził mnie prądem, matka odłożyła go z niecierpliwością na wysoką szafę. Z bibuły zrobiłam długą wstążkę i zaczęłam nią obracać.

– Mama, ładnie kręczę? – pytałam z uśmiechem.

Potem na bibule robiłam tuszem haft. Zdarzało się mocniejsze przyciskanie, co groziło zniszczeniem wstążki, wówczas nacierałam głowę olejkami z marzeń i snów. W ten sposób wstążka szybko się zrastała, podobnie jak rany Jezusa w oczach Tomasza. Ten ostatni w końcu uwierzył, gdy zobaczył krew na palcach. Dotyk mu pomógł. Tak oto zaczęłam życie brać na czucie – przez dotyk.

Pewnego dnia nad wioską pojawił się silny wiatr. Zaczął, jak wielki ptak uderzać skrzydłami o dachy domów, ustawionych w zwartym szeregu, przy głównej drodze. Jedno skrzydło opadło na ścianę pokoju, drugie zaś porwało wstążkę, która zaczęła o gwiazdę. Zaczęłam się wspinać. Byłam szczęśliwa do momentu, gdy nagle z dołu usłyszałam krzyk:

– Wracaj! Twoja matka nie żyje!

Nie pamiętam samego momentu spadania, ale dość szybko poczułam smak ziemi. Nade mną stała pochylona matka z twarzą żółtą, okropnie pomarszczoną i potwornie suchymi, popękkanymi ustami.

– Chodź ze mną! – krzyknęła donośnym, ochryplym głosem.

Chwyliła mnie mocno za ramię.

Lód. Wszędzie było dużo lodu. Bardzo szybko pokrywał świat. Zastygałam razem z nim.

Pamiętam... był grób między drewnianą wysoką szafą, a zimną ścianą. Bez okien i drzwi. Czasami wychodziłam, udawało się zakładać różne maski i krążyć. Nikt nie wiedział, że „nie żyję”.

W kółku teatralnym miałam wrażenie, że jestem wśród żywych. Najbardziej sprzyjało mi recytowanie wierszy i gra w komediach. Tragedia przerażała – niezbyt dobrze się w niej odnajdywałam. Ale jak mogłam wspaniale występować, skoro tragedia rozgrywała się we mnie na co dzień?

– Życie to jedna wielka gra – wtedy od kogoś usłyszałam takie słowa.

– Od ciebie zależy, jaką maskę założysz i w jakiej scenie zagrasz – odpowiedziałam. Niestety, nie przyjęli mnie na Akademię Teatralną.

– Pani romantyzm nadaje się w życiu, dla męża, nie na scenie – usłyszałam przed egzaminami wstępnymi od znanego aktora.

Wreszcie poznałam mężczyznę w czarnym płaszczu. Zaimponował pochodnią.

Razem krążyliśmy po mrocznych korytarzach; doskonale rozrzucał po nich blask. Był jednak poważny problem: otóż nie zdawałam sobie sprawy, że on również „nie żyje”. Chłopczyk w czerwonym kapeluszu powrócił. Wszystko dotarło do mnie dopiero, gdy zobaczyłam szkielety innych kobiet, czaszki z pustymi oczodołami i wykrzywione w ironicznym uśmiechu szczęki.

Pewnego dnia powróciły najmroczniejsze chwile. Zobaczyłam w lustrze czarną twarz; w niej przewijały się postacie bliskich. Odbicie w lustrze rozszarpało mnie na strzępy – głębokie rany znowu wyszły na wierzch.

Walczyłam, a jakże: pojawił się szkielet szkieletu i obrastałam znowu mięsem. Przyszło olśnienie, że wszystko zależy ode mnie, jednak to nie było takie oczywiste. Rzeczywiście z czasem, ciemności zaczęły rozpląwać się w delikatnych promieniach słońca. Ale tak naprawdę przyczyną odchodzenia koszmarów była poezja. Oczyszczała niczym larwy.

– Nie pisz o larwach! – krzyknął kolega. – Normalisi tego nie pojmą!

Nagle ludzie zobaczyli moje dłonie (przebiły przez drewnianą podłogę). Powietrze przenikały szepty: M-aria, Agnieszka, S-alome, K-ali, I-sztar.

Imion i twarzy było dużo, dużo więcej. I choć napotykałam się na nie dosyć często, wybierałam samotny kamień i pola, po których wędrowałam.

– Ja was opiszę! – krzyczałam. – Boże, daj mi kiedyś możliwość pisania. Daj mi ten dar.

Biegałam po niemoich polach. Tańczyłam i robiłam salta na kwitnących łąkach. Byłam złodziejką, gdy obejmowałam pnie drzew, wykorzystując ich energię. Kłamałam, opowiadając wymyślone historie o miłości.

Dziś mam dom pośród traw, w których czasem zbieram płyty. Słyszę moje wewnętrzne dziecko. To kilkunastoletnia dziewczyna z długimi włosami. Mówi, grożąc mi palcem:

– Życie to wielka gra. Trzeba oswoić śmierć, wówczas oswoisz życie i możesz dobrze zagrać. Nie żyj śmiercią, bo wtedy nie zagrasz życia i przegrasz.

Wysłuchuję się w szept życia, biegnę po złocistym okręgu, niekiedy powracam, potem znowu biegnę.

Czasem widzę, jak podchodzę do drewnianego płotu. Dotykam pokrytego mchem szczebla.

Pocziwa staruszka w kolorowej chustce mnie pyta:

– To panienka już wróciła z nauk?

– Tak – odpowiadam z lekkim uśmiechem. – Trzeba zamknąć drzwi i bramy. Nie może być, by wiatr porozsiewał niechlujnie ziarno.

